

Od autora: Ostatni już (przynajmniej, jak na razie :)) turystyczny wspominek, poświęcony, podobnie, jak pierwszy, "bieszczadzkim chłopakom"

Udało mi się przeforsować pomysł na napisanie pracy magisterskiej o Bieszczadach (choć ciężko było, nie powiem, bo moja promotorka usiłowała mi udowodnić, że o górach tych napisano już wszystko, co tylko można, a ja jej, że wcale nie...), mogłam więc połączyć przyjemne z pożytecznym i wyruszyć w "Biesy" w celu zebrania materiałów badawczych. W przypadku mojej pracy miały to być ankiety między innymi ludnością miejscową. Wsiadłam więc w nocny PKS do Sanoka i „już” około południa dnia następnego znalazłam się w mojej ulubionej „dziurze” - Ustrzykach Górnych. Trochę mi było smutno, bo ani narzeczonego, ani żadnej bliskiej osoby, która mogłaby potowarzyszyć mi w poznawaniu opinii miejscowych na pewne tematy, a także (a raczej przede wszystkim) pochodzić ze mną po górach. Pobyt miałam zaplanowany na 2 tygodnie, po 10 dniach mieli do mnie dojechać siostra i szwagier, więc, z powodu głęboko zakorzenionej i absolutnie niemożliwej do przezwyciężenia niedźwiedziowej fobii, niepozwalającej mi na samotne włóczenie się po bieszczadzkich lasach, przez 10 dni czekało mnie jałowe podziwianie gór jedynie z perspektywy odwiedzanych miejscowości. Pocieszała mnie jedynie wizja powrotu tam razem z narzeczonym tego samego roku, tylko miesiąc później... Tak, to był dla mnie rok "bieszczadowej rozpusty" - nigdy wcześniej, ani, jak na razie, później, nie miałam możliwości wyjechania w Bieszczady w jednym roku - mało tego - miesiąc po miesiącu! Kiedy więc nachodziła mnie chandra spowodowana codziennym patrzeniem na turystów wyruszających w góry i wracających z nich, trzymałam się myśli, że za miesiąc ja też tak będę i jakoś dawałam radę.

Z ankietami szło mi łatwiej, niż się spodziewałam. Wiedziałam już wcześniej, że mieszkańcy Bieszczadów to ludzie naprawdę kontaktowi i swojscy, ale obawiałam się trochę, że będą odbierać mnie, miastową i do tego magistrantkę z wielgachną torbą na ramieniu i mnóstwem papierów do wypełnienia oraz pytań do zadania, obco i trzymać na dystans. Nic takiego jednak się nie stało - wręcz przeciwnie - sytuacje i rozmowy, jakie miały miejsce między nami, były absolutnym zaprzeczeniem zachowań i postaw powszechnie kojarzących się z pojęciem „dystans”... Objawiało się to w różnoraki sposób. W barze u Lacha, na przykład, żeby uzyskać materiał badawczy, musiałam wyrecytować jakiś wiersz Harasymowicza (z nim właśnie była związana moja praca) i to nie jakkolwiek, tylko tak, żeby Franciszkowi Lachowi się to spodobało. Zadanie miałam o tyle utrudnione, że Lach, jak to się często zdarzało, był nieco podchmielony... Skutkiem czego powtarzałam „W górach” ze 3 razy stojąc przed ladą baru i starając się nie zwracać uwagi na zdziwione miny turystów, którzy podchodzili coś zamówić.

W Pszczelinach, czekając na przystanku PKS na autobus do Ustrzyk, zaczęłam przeprowadzać ankiety z trzema miejscowymi mężczyznami, którzy, próbując zagospodarować sobie jakoś leniwy dzień wolny przechadzali się po wsi, aż trafili na mnie. Ci, którzy mieli okazję podróżować po Bieszczadach PKS-em, powinni się domyślać jaki był przedział czasowy przeciętnego oczekiwania na autobus - od godziny do kilku... Mnie tego dnia przydarzyła się akurat ta druga, skrajna opcja czasu oczekiwania, bowiem była to niedziela...

Zaczepliłam więc panów i po chwili konwersacja szła jak z płatka. Zaczęło się od rozmów na temat gór, poezji Harasymowicza i turystyki (kto myśli, że miejscowi, którzy wyglądem przypominają nierzadko miejskich „podpieraczy” ścian sklepów monopolowych, nie mają nic do powiedzenia na temat kultury,

polityki, historii, czy inne tematy uważane za „poważne”, są w grubym błędzie!), a skończyło na „odwiedzeniu” mnie autobusem do Ustrzyk przez najmłodszego z nich, któremu jakoś wyraźnie przypadłam do gustu...Po środku było jeszcze wspólne picie piwa (panowie uparli się, że muszą mi je postawić, nie było nawet innej opcji), palenie ruskich albo ukraińskich papierosów (ja byłam akurat na etapie rzucania i od jakiegoś miesiąca nie miałam papierosa w ustach, więc jak się zaciągnęłam tą „ruską mocą”, to myślałam, że płuca wypływają, ale moi nowi znajomi tak nalegali, że głupio było odmówić im - nie będę przecież nie-towarzyska, jak oni tacy sympatyczni i życzliwi) oraz spożywanie z jednego kieliszka wódki tego samego pochodzenia, co papierosy (no co, jak częstują, to nie wypada wybrzydzać przecież).

Pewnego dnia natomiast, prawie dosłownie, znalazłam się pomiędzy niebem a piekłem. Musiałam dostać się do Chmiela, a następnie do Dwernika, aby obfotografować tamtejsze obiekty sakralne oraz przeprowadzić ankiety z miejscowymi, ewentualnie także z turystami. Samo dotarcie do tych miejscowości nastroczało pewnych trudności dla osoby niezmotoryzowanej, mianowicie mogłam liczyć na PKS jedynie do Smolnika, a potem...pięta – palec. Z przystanku w Smolniku do Chmiela miałam 7 km, potem z Chmiela do kościoła w Dwerniku – jakieś 5km i na koniec z Dwernika z powrotem do Smolnika – około 6 km, a więc czekało mnie dobrych parę godzin chodzenia po to, żeby zrobić dokumentację fotograficzną 2 kościołów i może kilka ankiet...Do Dwerniczka doszłam na własnych nogach, ale tuż za krzyżówką z drogą na Dwernik udało mi się złapać „stopa” do Chmiela. Obeszłam cerkiew dookoła, porobiłam zdjęcia i ruszyłam w drogę powrotną w kierunku Dwernika. Po chwili znów udało mi się "złapać" auto. Turyści, którzy mnie podrzucali, zabrali też po drodze Artystę, którego poznałam w Mucz-nem w czasie pierwszego pobytu w Bieszczadach. Trochę się zdziwiłam, co on tam robi, ale nie zaczęłam go, bo pewnie i tak mnie nie pamiętał. Dojechaliśmy do krzyżówki, turyści odjechali, a my z Artystą zaczęliśmy maszerować razem, gdyż okazało się, że obydwójce mamy wspólny cel podróży (przynajmniej w stopniu ogólnym - zmierzaliśmy do Dwernika, tyle, że ja do kościoła, a on o baru). Zaczęliśmy nawet o czymś rozmawiać, ale po chwili zatrzymał się przy nas samochód. Okazało się, że to miejscowi znajomi mojego towarzysza, miał on więc zapewnioną podwózkę na miejsce przeznaczenia, a przy okazji i ja także. Tyle, że wszyscy wysiedliśmy przy barze, bo mężczyźni, którzy nas podwozili, również postanowili spędzić tam sobotnie przed - i popołudnie...Do kościoła miałam jeszcze ok. 1,5 km, chciałam więc ruszyć dalej i czynić swą badawczą powinność. Moje plany zostały jednak udaremnione, ponieważ, jak przyszło do żegnania się z przygodnymi znajomymi, wszyscy panowie jak jeden mąż, wyrazili niemalże święte oburzenie - że jak to, nie wejdę z nimi na choć jedno piwo?! Przecież kościół mi nie ucieknie, pójdę sobie tam później. No i znowu uległam towarzyskiej naturze ludności miejscowej...Weszłam ze wszystkimi do baru, który, jak na ironię, nazywał się „Piekiełko” i zostałam jego całodziennym gościem poprzez zasiedzenie. Moi towarzysze śmiali się, że zmierzałam do nieba, a wylądowałam w piekle... Kościół zobaczyłam dopiero miesiąc później, podczas pobytu w „Biesach” z narzeczoną, co więcej, przesiedzia-łam w barze godzinę odjazdu ostatniego autobusu ze Smolnika do Ustrzyk, pozbawiając się tym samym możliwości dotarcia jakimkolwiek środkiem transportu publicznego na moją kwaterę. Nie martwiłam się tym jednak zbyt, ponieważ spożyte napoje rozluźniające usunęły z mojej głowy wszelkie zmartwienia, poza tym, chłopak, który w pewnym momencie przyjechał z brusznicą do sprzedania i, podobnie jak ja, trochę się zasiedział, zapewniał, że może mnie podrzucić, bo mieszka przy Ustrzykach, więc będzie wracał w tamtym kierunku. Szkoda tylko, że nie wpadłam na to, aby się upewnić wcześniej, w których Ustrzykach on mieszka...Jak przyszło co do czego i zaczęliśmy się zbierać do drogi, okazało się, że oczywiście, chodziło mu o Ustrzyki Dolne. Ja jednak, w swojej desperacji zupełnie nie zważając na to, że w stronę „moich” Ustrzyk i z powrotem to jest dla niego blisko 100 km nadrobionej drogi, zaczęłam gorączkowo go prosić, żeby mnie jednak do „moich” Ustrzyk zawiózł, bo ja już nie mam autobusu i co ja teraz, biedna, pocznę??? Paweł, złoty człowiek, w końcu się zgodził, ale pod warunkiem, że po drodze pomogę mu sprzedać brusznicę, bo inaczej ojciec go zabije...Ostatecznie wszystko dobrze się skończyło -

transakcji udało nam się dokonać w jednym z obiektów świadczących usługi hotelarskie, a ja miałam podwózkę prawie pod drzwi. Tyle, że „w domu” byłam dobrze pod wieczór, a zostało mi tego dnia jeszcze sporo do zrobienia, postanowiłam więc przeprowadzić ankietę z moimi gospodarzami, a potem wyjść do „Caryńskiej” na późny obiad. Gospodarze, jak to zwykle bywa na wizytach u nich, poczęstowali mnie winkiem, humor więc dopisywał mi do samego końca dnia. W drodze na obiad postanowiłam jeszcze „zahaczyć” z ankietą o „goprowców” i chyba nie był to do końca dobry pomysł, bo z tej wizyty pamiętam dzisiaj tylko tyle, że rozmawiałam z młodym ratownikiem i, będąc w stanie rozradowania, nieprzyzwoicie głośno zaśmiewałam się, gdy opowiadał mi, jak trafiła kiedyś do nich dziewczyna, którą osa ugryzła w usta...

Ogólnie rzecz biorąc, terenowe prace nad moją pracą wspominam nadzwyczaj miło i sympatycznie. Takie same są moje wrażenia z integracji z miejscowymi. I w tym miejscu chciałabym przestrzec wszystkich, którzy, znalazłszy się na polskim „dzikim wschodzie” wzrokiem podejrzliwym i nieco bojaźliwym patrzą na tych przedstawicieli miejscowej ludności, którzy tam powszechnie funkcjonują pod nazwą zakapiorów – nie wolno oceniać ludzi po wyglądzie. Zwłaszcza w Bieszczadach.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

aga63, dodano 18.07.2013 21:42

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.